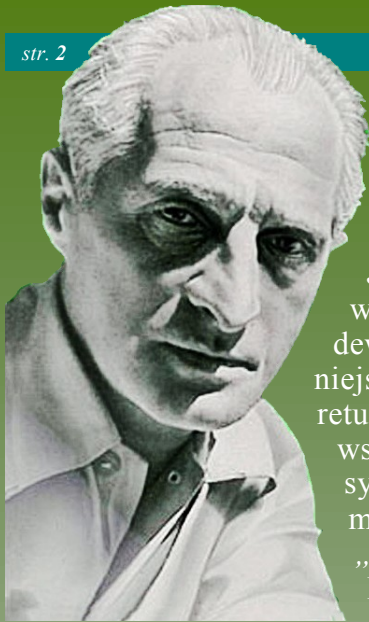


W numerze

- ◇ Zenon Rogala:
2013- Rok Juliana Tuwima
- ◇ Michał Tadeusz Kozera:
„Cerkiew na Wzgórzu Zamkowym”
- ◇ Andrzej Koperski:
„Kraków lat sześćdziesiątych
(1961-1966)”
- ◇ Mariusz Frodyma:
„Jest taka willa w Przemysłu”
- ◇ Mariusz Frodyma:
„Najjaśniejszy Pan w Przemysłu”
- ◇ Przemysław Piotrowski:
„Szwejk przedstawiony” – Cd.
- ◇ Emil Palej:
„Notatki z mego życia” – Cd.
- ◇ Zenon Rogala:
„MISCELLANEA”
- ◇ „Półka z książkami”



2013 – ROK JULIANA TUWIMA
Ławeczka Tuwima – spizowy pomnik autorstwa
Wojciecha Gryniewicza odstonięty 10 kwietnia
1999 roku przy ulicy Piotrkowskiej 104 przed Pał-
cem Juliusza Heinzla w Łodzi.



Uchwałą Sejmu VII kadencji z 7 grudnia 2012 (*Monitor Polski, Warszawa 19 grudnia 2012, poz. 988*) – rok 2013 ogłoszony został rokiem **Juliana Tuwima** (sześćdziesięciolecie śmierci poety i stulecie jego debiutu literackiego).

Julian Tuwim (ur. 13 września 1894 w Łodzi, zm. 27 grudnia 1953 w Zakopanem) – polski poeta żydowskiego pochodzenia, pisarz, autor wodewili, skeczy, librett operetkowych i tekstów piosenek; jeden z najpopularniejszych poetów dwudziestolecia międzywojennego. Współzałożyciel kabaretu literackiego „Pod Picadorem” i grupy poetyckiej „Skamander”. Bliski współpracownik tygodnika „Wiadomości Literackie”. Tłumacz poezji rosyjskiej, francuskiej, niemieckiej oraz łaciny. Brat polskiej literatki i tłumaczki Ireny Tuwim, kuzyn aktora kabaretowego i piosenkarza Kazimierza „Lopka” Krukowskiego. Jego bratem stryjecznym był aktor Włodzimierz Boruński. Podpisywał się ponad czterdziestoma pseudonimami m.in. Oldlen, Tuvim, Schyzio Frenik, Wim, J. Wim, Pikador, Roch Pekiński.

Red.



Zenon Rogala

BUKIET

Na policzku od urodzenia miał ciemne znamię. Tak zwaną myszkę. Takie przypadki zdarzają się i to dość często. Bardzo dużo ludzi ma takie znamiona. Są różnej wielkości i sadowią się w przeróżnych miejscach na skórze. Sam mam podobną, ale na szczęście w tym miejscu, które wskazuje dokładne położenie ślepej kieszki. Pojawienie się takiego znamienia akurat na twarzy, w centralnym miejscu policzka, najpewniej było z początku dla rodziców, a potem dla dorastającego chłopca, nie mówiąc o dojrzewającym młodzieńcu, przeżyciem dość stresującym. Takie naznaczenie mogło być jednak inspiracją do zaprezentowania się w grupie rówieśniczej dla równowagi czymś, co przyćmi tę plamę na policzku. Mogło to być powo-

dem pójścia we własne wnętrze i zanurzenie się w głębi życia emocjonalnego, w rodzaj budującego nastrój osamotnienia, w skrycie się i skulenie w kokonie kompleksu, w kokonie własnego wnętrza, czyli poszukiwania podglebia poetyckiej wrażliwości. Być może czas spędzony w tym kokonie zaowocował przeobrażeniem się w barwnego poetyckiego motyla, bo i takie prawdopodobieństwo można wziąć po uwagę, w każdym razie nie można go wykluczyć. Cokolwiek by nie mówić, to plama plamą, ale akurat w tym miejscu była chyba trochę za duża. Za duża, żeby ją zlekceważyć, żeby pominąć, żeby nie dostrzec. Może właśnie dlatego został wielkim poetą, żeby przykryć tę dużą plamę, swoją jeszcze większą poezją.

I podobnie, żeby w uznaniu zasług oraz aby przykryć doznane za życia niezasłużone przykrości od tamtej przedwojennej ojczyzny, ta obecna, chcąc tamte krzywdy wynagrodzić, postanowiła uhonorować, twórcę grupy poetyckiej „Skamander” – jednego z największych poetów polskich.

W każdym razie na tyle wielkiego, że z okazji sześćdziesiątej rocznicy Jego śmierci, postanowiła obecny rok dwutysięczny trzynasty nazwać **Rokiem Juliana Tuwima**, przez to uczcić jego pamięć, dorobek twórczy, pochylić się nad jego bogatą, różnorodną twórczością, ciekawą biografią i zobaczyć w nim zarówno twórcę jak i zwykłego człowieka.

Jeśli nawet nie znamy go dobrze, to na pewno zetknęliśmy

się z nim w swoim życiu, już od najmłodszych swoich lat i to nie raz, nawet nie wiedząc, że to on. Począwszy choćby od bijącej rekordy popularności „Lokomotywy” stojącej na czele wszystkich bajek dla dzieci, poprzez „Rzepkę” czy „Okulary”, oraz zabawną bajkę „Słoń Trąbalski”. Na wyżyny interpretacyjne wierszy poety, wniosła Irena Kwiatkowska rewelacyjne wykonanie wiersza „Ptasie radio”, czy bajkę „Kogucik”.

W dorobku poetyckim Tuwima czołową lokatę zajmuje poemat dygresyjny „Kwiaty Polskie”. Jak w soczewce skupił tu poeta refleksje nad życiem w kraju ojczystym. Jak w bukietach znajdują się przeróżne kwiaty, tak w tym poemacie pisanym przez wiele lat i nawet nie dokończonym, zawarł poeta obraz społeczeństwa polskiego, jego przywar, jego specyficznej obyczajowości, jak też przedstawił dramatyczny przebieg wielu wydarzeń osadzonych w rodzinnej Łodzi, w Warszawie i na odległych stronach emigracyjnego świata.

Tuwim to człowiek wyczulony na człowieka. Na jego uczuciowość i jej rolę w życiu.

Taka szczególna wrażliwość na los człowieka dominuje i zatrważa przy lekturze prostego wiersza „Do prostego człowieka”. W nim Tuwim pokazał jak bardzo bliskie mu są losy pojedynczego człowieka, który jest bezradny w zetknięciu z przerażającą i bezwzględną machiną interesów, biznesów, gospodarczych machlojek i interesow-

nych przekrętów.

Ten najbiedniejszy i przez to najmniej chroniony, pojedynczy człowiek, jest w jego twórczości brany w obronę.

„O, przyjacielu nieuczony,
Mój bliźni z tej czy innej ziemi.
Wiedz, że na trwożę biją w dzwony
Króle z panami brzuchatemi”.

Koszty wszelkich zagrożeń, wojen i konfliktów społecznych i tak ponosi ten najbiedniejszy – „... rżnij karabinem w bruk ulicy,
twoja jest krew, a ich jest nafta...”.

– takie przesłanie śle przedwojennym, prostym ludziom, ale jest ono aktualne również i dzisiaj. Jako pilny uczestnik i obserwator przedwojennego życia społecznego nie mógł pozostawać bezkrytyczny na ogromną rolę wpływów kościoła. Był krytyczny, wobec interesowności kleru, ale specyficznym traktował religię i próbował osadzić ją w realiach społecznych miast. Przykładem jest „Chrystus miasta”, wiersz, w którym Chrystus żyje między nami i jak każdy z nas ponosi trudy życia w mieście, między pospolitymi mieszkańcami, czy pełen mądrej refleksji wiersz „Czyhanie na Boga”. Przez to jego twórczość przez uniwersalność, poprzez mówienie o sprawach nam bliskich, w dodatku językiem naszym, najprostszym, daje gwarancję, że ta poezja na długie jeszcze lata pozostanie nam bliska, bo autor umiał wyrazić naszym językiem, nasze kłopoty i nasz punkt widzenia na ich rozwiązanie.

O wszechstronności Tuwima świadczy cały legion pokoleń wychowanych na jego poezji mi-

łosnej. Jego erotyki są wysublimowane, ale oparte na przyziemnych konkretach. Kto nie pamięta wrażenia jakie robiły na nas jego wiersze śpiewane przez filary polskiej pieśni estradowej. Niezapomniana przedwojenna piosenka z jego słowami „Miłość ci wszystko wybaczy”, w wykonaniu Hanki Ordonówny, czy „Tomaszów” śpiewany epokowo przez Ewę Demarczyk, albo fenomenalnie wykonany przez nią „Grande Valse Brillante”.

Każdy dorastający, ale nie tylko, także ci dojrzały, już rozsmakowani w atmosferze wzajemnych uczuć i sercowych podbojów, pamiętają subtelne porównania i obrazy służące poecie do stworzenia nastroju refleksji i zadumy nad losem i przyszłością rodzącego się uczucia, co wspaniale zaprezentował Marek Gruchuta w piosence do wiersza „Sen złotowłosej dziewczynki”, a także te najbardziej zmysłowe – „Erotyk”, czy „Sam na sam”.

„Skamander” to nazwa rzeki opływającej legendarną Troję. Julian Tuwim wraz z trzema innymi poetami, stworzył w Warszawie na początku XX wieku, grupę poetycką pod taką nazwą. Każdy z tych poetów zapisał się trwale w historii literatury polskiej, co podsumował Stanisław Wyspiański mówiąc:

„... Skamander połyska, wiślaną światłąc się falą...”

W tym blasku całkiem niewidoczna stała się plama Juliana Tuwima na jego policzku.

Michał Tadeusz Kozera

Opisałem już prawie wszystkie interesujące zabytki miasta Przemyśla. Przynajmniej te, w których dostrzegłem jakiś dodatkowy „potencjał” historyczny. Taki, który wskazuje na konieczność dalszych poszukiwań archeologicznych i architektonicznych. Moim zdaniem – oczywiście. Pozostaje jednak jeszcze jeden nietypowy obiekt. To:

CERKIEW NA WZGÓRZU ZAMKOWYM (?)

Zostawiłem ten zabytek na koniec, bo jego dzieje są bardzo dramatyczne. Albo jak kto woli: skandaliczne!!

Przesadzam? To poczytajcie.

Wszystko zaczęło się około 1959 roku, kiedy podczas badań archeologicznych na wzgórzu zamkowym w Przemyślu odkryto nieznany nikomu obiekt murowany. A dokładniej – jego fundamenty. Badania były wówczas prowadzone w ramach ustalania dziejów Polski z okazji zbliżającego się Tysiąclecia Państwa Polskiego (przypomnijmy niektórym: w 1966 roku). Mimo, że była to bardziej rocznica kościelna niż państwowa (966 rok chrzest Polski w obrządku rzymskokatolickim).

Badania archeologiczne tej budowli ciągnęły się do 1964 roku. Zainteresowanych szczegółami odsyłam do najnowszej książki „Przemyśl wczesnośredniowieczny”, wydanej w Warszawie w 2010 roku przez Fundację na rzecz nauki, Instytut Archeologii i Etnologii Polskiej Akademii Nauk i Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego.

Ostatecznie obiekt uznano za cerkiew. Wówczas znalazła się ona poza obszarem zainteresowania badaczy. Mało tego. Ktoś z ówczesnych decydentów Przemyśla postanowił zatrzeć po niej ślady. W jej miejscu wybudowano zbiornik przeciwpożarowy. Jakby nie było innych możliwości jego lokalizacji.

No cóż. Głupota to...

Nie byłoby może to aż tak tragiczne działanie w skutkach, gdyby...

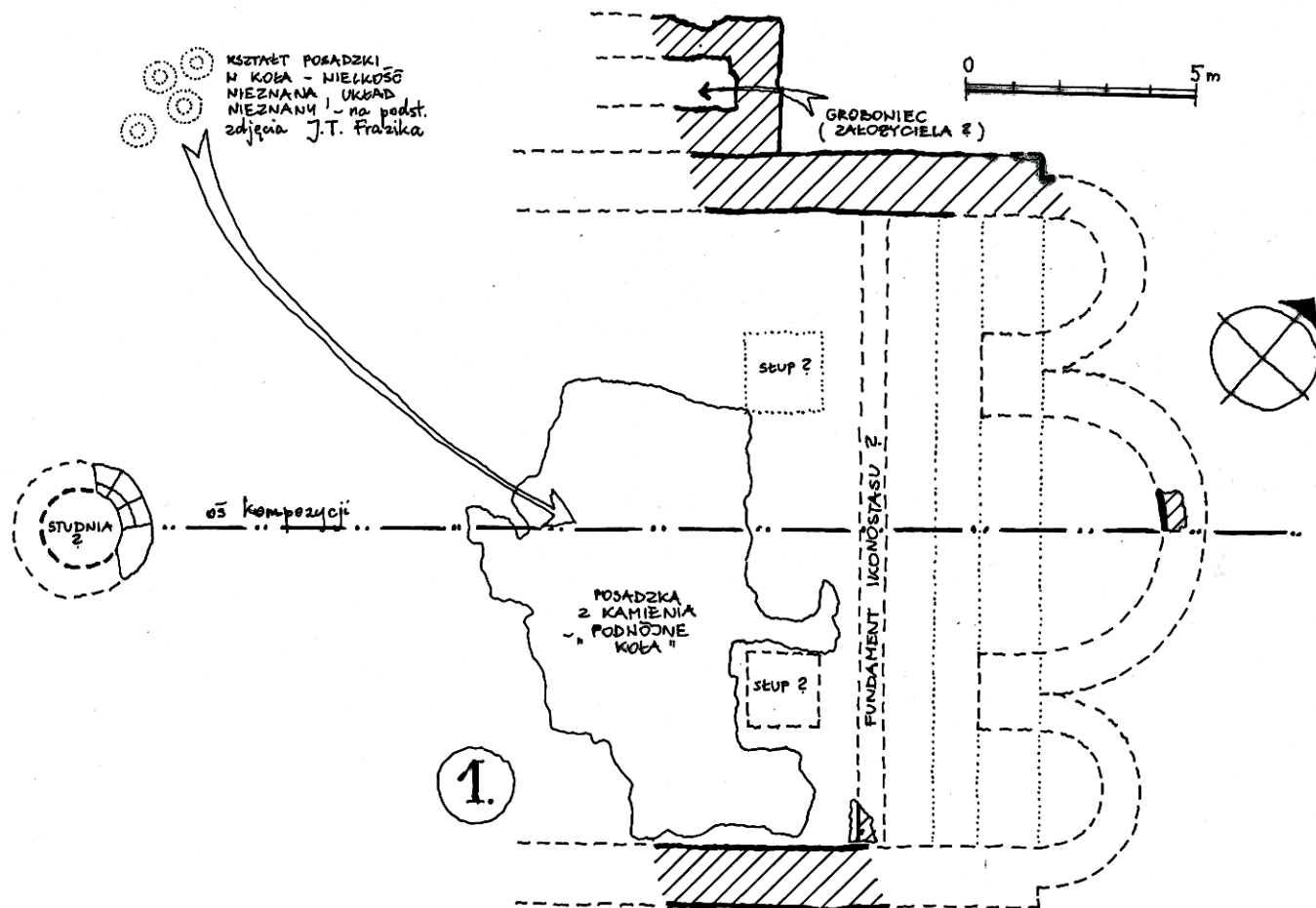
No właśnie. Badania archeologiczne z lat 1959-1964 roku okazały się wykonane po dyletancku i partacku. Nie bójmy się ostrych słów. Przynajmniej ja mogę ich użyć. Zapewne w kręgach archeologów nikt by się nie odważył sformułować tak ostrego sądu. Wszak autor tych badań to wciąż jeden a autorytetów w archeologii. Cytowany w wielu publikacjach.

Nie jestem człowiekiem z branży. Zatem nie obowiązują mnie konwenanse. I to takie, które w efekcie końcowym przynoszą negatywne rozpoznanie historii.

W czym problem? Po szczegółowej analizie współczesnych badaczy okazało się, że dokumentacja z tamtych badań archeologicznych zawiera wiele błędów i liczne niedociągnięcia. Z opisu specjalistów wynika, że była wykonana na poziomie studentów archeologii po I roku studiów. I to zapewne bez nadzoru bardziej doświadczonych archeologów. Jedyne co może usprawiedliwiać jej wykonawców to fakt, że była jedną z pierwszych na terenie Polski Ludowej. A wymogi ówczesnej polityki wymagały „działań zgodnych z linią partii”. Nawet w tak specyficznej dziedzinie jak archeologia.

Kolejnym problemem jest kwestia interpretacji tych wyników. Chociażby takich jak rekonstrukcja tej budowli. Ta bowiem została oparta częściowo na danych nieznanymi z badań archeologicznych w terenie. Dotyczy to chociażby wskazania jako istniejących murów, które podczas badań archeologicznych w ogóle nie zostały odkryte (sic!!!).

Szokujące? Pewnie tak, ale w archeologii zdarzały się dużo większe „przekręty historyczne”. Przypomnijmy chociażby słynną historię stworzenia nowej linii genealogicznej w pochodzeniu człowieka. Dokonano tego poprzez „spreparowanie” jednej z czaszek odkrytych metodami archeologicznymi. Dodajmy, że autorem tego przekrętu był bardzo znany angielski archeolog z wysokimi tytułami nie tylko archeologicznymi. Jego celem było zniszczenie odkryć młodszego kolegi. I zaprzeczenie teorii Darwina. Udało się mu to o tyle, że młodszy kolega za swojego życia nie dowiedział się o dokonanej przez siebie ważnym odkryciu. A sprawa wyszła na jaw dopiero niedawno (jakieś



sto lat później) dzięki zastosowaniu najnowszych urządzeń badawczych. Dodajmy, że z powodu tej „checy” nikogo nie spotkała żadna kara. Poza utrzymującym się fałszywym przekonaniem o rozwoju i powstaniu człowieka.

Zostawmy jednak spory o charakterze polityczno-pseudonaukowym. Spróbujmy tylko odzielić ziarno od plew w interesującym nas tutaj temacie.

Jako pierwszy przygotowałem rysunek nr 1. Jest to rzut odkrytych murów (lub ich niewielkich fragmentów) cerkwi, które **zostały potwierdzone** w badaniach archeologicznych. Wszystkie inne wątki murowane pokazane na rekonstrukcjach, a nie znalezione w dokumentacji z badań zostały przeze mnie odrzucone. Zainteresowanych różnicami odsyłam do porównania starszych rekonstrukcji budowli z tu pokazaną.

W efekcie wyłonił się stosunkowo inny układ budowli sakralnej. Potwierdziły się dwa mury równoległe, niewielkie fragmenty fundamentów i duże części posadzki z bloczków kamiennych w formie podwójnych kół.

Nawiasem mówiąc o istnieniu kształtu tej posadzki także wiemy obecnie tylko przez przypadek. W dokumentacji archeologicznej nie ma o niej żadnych informacji. Jej zdjęcie zrobił przypadkiem

Józef Tomasz Frazik, podczas swojego pobytu na zamku w Przemyślu. A przecież kształt, wielkość i układ tych kręgów mógłby być także bardzo przydatny przy rekonstrukcji całego obiektu.

Po zachodniej stronie budowli natrafiono na fragment grobowca zapewne fundatora obiektu (tak przynajmniej wskazano w rekonstrukcji obiektu, chociaż o samym pochowanym nie wiemy nic. Jeżeli był pochowany z jakimiś atrybutami, to mogły one ułatwić odpowiedzi na wiele pytań – uważa M. K.). O ile nie był to kolejny element budowli. Na przykład schody na wyższą kondygnację.

Dodajmy, że przy tej budowli odkryto cały szereg prawdziwych grobów. Przy czym przy rozpoznaniu tego cmentarza pracowały dwie ekipy. Jedna z Krakowa, a druga z Rzeszowa. Nie chcę plotkować, ale podobno czasami badania kończyły się konfliktem obu ekip z udziałem milicji włącznie. Dodajmy jeszcze, że wyniki badań szkieletów także okrywa tajemnica. Najprawdopodobniej nigdy ich nie dokończono, a same szkielety zaginęły w niewyjaśnionych okolicznościach (w jednym z dużych ośrodków archeologicznych na zachodzie Polski).

A przecież szkielety z tego cmentarza, jak również odnalezione tamże przedmioty mogły dawać również omawiany tu obiekt sakralny. O ile

oba zespoły powstały w tym samym czasie (to można metodami archeologicznymi także łatwo ustalić!!!). A tak o czas powstania tej budowli sakralnej toczą się nadal zacięte spory wśród badaczy. A niektóre teorie są wręcz abstrakcyjne i nie-dorzeczne.

Z badań archeologicznych należy jeszcze wspomnieć o odkryciu fragmentów studni. Jest ona zlokalizowana dokładnie na osi całego obiektu. Zatem powinna być istotnym elementem rekonstrukcji. Została jednak przywołana dopiero podczas analiz współczesnych badaczy z 2010 roku. Wcześniej została zlekceważona. Czyżby nie pasowała do koncepcji?

Pozostaje jeszcze na dodatek problem kilku pomniejszych murów wewnątrz obiektu. Mogą być one fragmentami analizowanej cerkwi, a mogą także być elementami innej budowli. Może starszej? Może młodszej?

Niestety, z tamtych badań archeologicznych nie można tej kwestii rozstrzygnąć jednoznacznie. Jeden z fundamentów może wskazywać na pozostałości po ikonostasie. A może po innym podziale wnętrza? Wówczas proponowana lokalizacja słupów nie miałaby żadnego sensu. Tym bardziej, że ich istnienie także jest problematyczne. Może być zwyczajnym wymysłem autora badań archeologicznych. Chociaż trzeba uczciwie powiedzieć, że wielkość budynku sugeruje istnienie jakichś podpór. Ale mogły być one po prostu drewniane. Już w latach siedemdziesiątych XX wieku Józef Tomasz Frazik – architekt i historyk sztuki – nie był przekonany co do sposobu rekonstrukcji tego obiektu czyjego datowania.

<<< >>>

Dalsza analiza architektoniczna (tym razem mojego autorstwa) będzie miała charakter czysto hipotetyczny. Jej celem będzie również wskazanie innych interpretacji odkrytych murów w latach 1959-1964. Wszak ilość potwierdzonych danych z badań jest za szczupłą do podania bardziej konkretnych informacji.

Za sakralnym charakterem obiektu na pewno przemawia sąsiedztwo cmentarza. Ten ostatni mógłby nawet umożliwić datowanie tej budowli. Jednak brak jest wyników z badań archeologicznych czy antropometrycznych tych grobów. Szkoda. Bo nie ma wcale pewności, że omawiany tu obiekt – stojący koło cmentarza – musi koniecznie być budowlą sakralną. Szczególnie, jeżeli powstał po lub przed budową tego cmentarza.

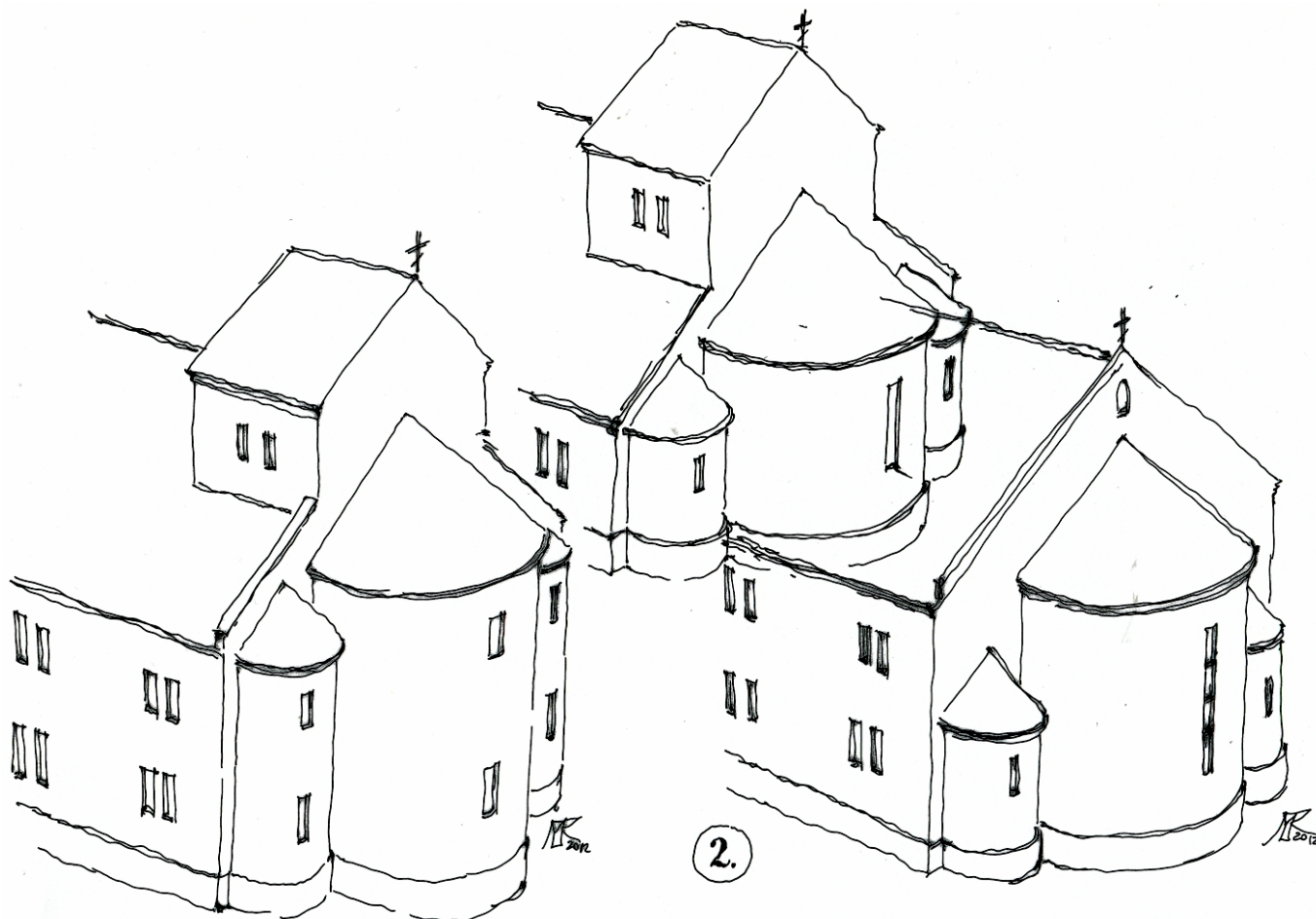
Nie ma także pewności, czy od strony północnowschodniej na pewno były trzy zakończenia w formie półokręgów. Mogła być również tylko jedna, centralna koncha. Bo do istnienia bocznych półokręgów nie ma bowiem zasadniczo żadnego, jednoznacznego potwierdzenia. A i ta centralna koncha jest potwierdzona tylko przez niewielki fragment muru fundamentowego, który może pochodzić na przykład z innej budowli.

Wiele informacji do rekonstrukcji mogłyby wnieść analizy posadzki wewnętrznej. Dodajmy jednak, że nie ma bowiem pewności czy „odkryta” część posadzki to całość. Mogło zdarzyć się przecież, że na początku nie zauważono jej charakteru i przeznaczenia. Wówczas pewne jej partie mogły ulec bezpowrotnemu zniszczeniu. Podczas tych badań mogło być wszakże wszystko możliwe. Pełny zasięg tej posadzki mógł wskazać przynajmniej wielkość tego budynku i jego prawdopodobny kształt. Nawet, gdyby zewnętrzne mury rozebrano wraz z fundamentami (co wydaje się jednak mało prawdopodobne). Układ posadzki mógł wskazać również ewentualną lokalizację słupów czy filarów wewnętrznych. I to bez względu na to z czego byłyby wykonane. Bo obecna rekonstrukcja wewnętrznych podpór jest czysto hipotetyczna.

Istnienie posadzki ma jeszcze jedną ważną cechę. Sugeruje, że podczas rozbiórki tego budynku (zapewne w XV wieku – jak sugeruje Jan Długosz, ale on także jest mało wiarygodnym źródłem informacji) powinny zachować się wszystkie jego mury. Przynajmniej w strefie fundamentów. Nikt jednak rzeczywistego zasięgu tego budynku nie sprawdził. Szkoda. Skupiono się bardziej na penetracji grobów niż na badaniach ważnego obiektu dla dziejów Przemysła. Wykonanie basenu przeciwpożarowego mogło dokonać bezpowrotnych zniszczeń. Podobnie jak stało się to w Krakowie. Podobne baseny wybudowali Niemcy na Rynku w Krakowie podczas II wojny światowej niszcząc chociażby podziemia ratusza. Tyle tylko, że oni byli okupantami w ówczesnej Polsce.

Nie ma również żadnej pewności, że budowla była na pewno kwadratem. Brak bowiem jest jakichkolwiek śladów po południowozachodniej ścianie. Pokazany fragment muru tej ściany w rekonstrukcji archeologa jest czystą fikcją nie potwierdzoną wynikami badań archeologicznych.

Niedocenianą dotychczas informacją jest wskazanie na istnienie studni przy tym obiekcie. Na osi całego założenia. Moim zdaniem mogła ona



pełnić bardzo ważną rolę w całym układzie. O ile powstała w tym samym czasie co budynek. Mógł to być element założenia chrzcielnicy o nieznanym kształcie i formie. Albo mogła być to studnia, która kiedyś była zlokalizowana wewnątrz wieży obronnej (czymś na kształt „punktu ostatniej obrony”). Pamiętajmy, że były to niespokojne czasy. Często kościoły i cerkwie (prawdę mówiąc to oba słowa znaczą dokładnie to samo. Przy czym słowo *cerkiew* pochodzi z języka wschodniosłowiańskiego, a *kościół* z zachodniosłowiańskiego – uwaga M. K.) były obiektami obronnymi. Zatem rekonstrukcja obiektu sakralnego z wieżą obronną zmieniłaby w sposób istotny rekonstrukcję całości.

Kolejną otwartą kwestią są dotychczasowe rekonstrukcje całości z centralną wieżą. Albowiem dotychczasowe badania archeologiczne tego nie potwierdzają ani temu nie zaprzeczają. Choć mam wrażenie, że takiego typu cerkwie pojawiły się dopiero w XVI wieku. Tu należałoby raczej poszukiwać analogii w obiektach pochodzących z okresu romańskiego – z XI czy XII wieku. Stąd propozycja pokazana na rysunku nr 2. Wskazałem kilka możliwych – w formie perspektyw – rozwiązań części północno-wschodniej tego obiektu sakralnego. Przy pełnej świadomości braku pełniej-

szych danych do rekonstrukcji – o czym napisałem wcześniej. Posłużyłem się przy tym analogią do kościołów występujących na szlaku pielgrzymkowym św. Jakuba w Hiszpanii. Właśnie z tego samego okresu. Wiem, wiem. Te kościoły są związane z religią rzymsko-katolicką. Ale w tamtych czasach nie było zapewne aż takiej różnicy w budowlach obu religii: obrządku wschodniego i łacińskiego.

Czy mam rację?

Nie mam najmniejszego pojęcia. To przecież tylko hipotetyczna rekonstrukcja. Tak samo – zapewne – mało poprawna jak inne. Bo konieczne są dalsze badania. Może podczas kopania zbiornika przeciwpożarowego nie zniszczono wszystkiego? Może jakieś mury ocalały? Szczególnie byłyby cenne odkrycia w części południowo-zachodniej między studnią a właściwą budowlą. Uszczegółowienia wymaga również analiza murów w części północno-wschodniej budowli.

W przeciwnym wypadku należałoby rzucić kłutwę na tych, którzy są winni zaistniałemu „bałaganowi”. I nie mam tu na myśli tylko archeologów.

Kraków lat sześćdziesiątych (1961-1966) widziany oczami studenta z Przemyśla

Andrzej Koperski

Piękny maj 1961 roku i matura w znanym, renomowanym przemyskim Liceum im. Kazimierza Morawskiego. Snucie planów na przyszłość, marzenia o studiach humanistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Kraków nie był mi obcy, wcześniej poznałem to miasto uczestnicząc w wycieczkach szkolnych. Zawsze wrażenie robił na mnie Wawel, barbakan, brama Floriańska, kościół Mariacki, Rynek, zaułki Starego Miasta i wiele innych zabytkowych miejsc. Tu już studiował mój starszy brat. Nie wyobrażałem sobie innego miejsca mojej dalszej edukacji. Z drugiej strony towarzyszyły niepokoje, jak zaadoptuję się w tym wielkim mieście, w nowym środowisku. Później szczęśliwie zdany egzamin wstępny. Na rozpoczęcie roku akademickiego zostałem zaskoczony wyznaczeniem mnie do udziału w immatrykulacji, uroczystości przyjęcia nowych studentów na I rok studiów. Uroczystość ta odbywała się w auli Collegium Novum. Onieśmiało pierwsze zetknięcie się z wielkim światem nauki. Odczuwało się niezwykłą dostojność prawie 600-letniej Uczelni, kiedy rektorzy w gronostajach, profesoro- wie w togach, przechodzili z Collegium Maius do głównego gmachu Uniwersytetu.

Później zajęcia na wybranym kierunku, w skromnych pomieszczeniach Katedry Archeologii Polski przy ul. św. Jana 22. Przyszło bliższe poznawanie

miasta. Kraków wówczas, kilka lat po odwilży politycznej w 1957 roku, tętnił życiem, któremu ton nadawała, jak zwykle, brać studencka. Dla mnie nowym miejscem zamieszkania stał się słynny dom studencki „Zaczek” przy ul. 3-go Maja 5, przy krakowskich błoniach. Mieszkało tam ponad tysiąc młodych mężczyzn z różnych stron Polski, w tym spora grupa z Przemyśla. Jako krajanie trzymaliśmy się razem, wspierając się w różnych życiowych sytuacjach. Warunki nie były luksusowe, w małych pokojach mieszkało nas po 3-4 osoby. Spaliśmy na wojskowych, żelaznych, piętrowych łóżkach. Mieliśmy zapewnione wyżywienie w stołówce akademickiej, która była też miejscem naszych spotkań. Kalorie uzupełniało się dodając pierogi, czy kiełbasę z rusztu z kapustą, w barze przy ul. św. Anny. Flaczki można było zamówić w „Kuchciku” przy ul. Jagiellońskiej. Pozostawał jeszcze bar mleczny „Pod Zegarem” na rogu ul. Długiej. W późnych godzinach wieczornych chodziło się na sałatkę włoską do restauracji dworcowej. Wspaniałe serniki podawano w cukier- rence tuż przy Teatrze Starym. Otrzymywaliśmy stypendia, bez których nie byłaby możliwa nasza nauka. Nie zaliczenie egzaminów groziło utratą stypendium i tym samym, w wielu wypadkach, zakończeniem kariery studenckiej. Na zajęcia często szliśmy piechotą ul. Manifestu Lipcowego (ob. ul. Marszałka Józefa Piłsudskiego), ul. Gołębią, przez Rynek do ul. św. Jana. Szybko pokonywaliśmy ul. Ma-



Andrzej Koperski - urodzony 30.11.1943 r. we Lwowie. Od 1944 roku zamieszkał na stałe z rodziną w Przemyślu. Absolwent II Liceum Ogólnokształcącego im. K. Morawskiego.

W latach 1961-1966 student Archeologii Polski Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ukończył też podyplomowe studia z zakresu muzeologii na UJ. W latach 1966-2008 pracownik Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej w Przemyślu, począwszy od stanowiska asystenta do starszego kustosa włącznie. Sprawował okresowo funkcję wicedyrektora d/s naukowych, przez długie lata był kierownikiem Działu Archeologicznego. Prowadził badania terenowe na wielu stanowiskach archeologicznych w Przemyślu i okolicy. Autor ok. 100 artykułów naukowych. Działacz kilku regionalnych towarzystw naukowych i kulturalnych. Radny miasta Przemyśla w kadencji 1998-2002.

Obecnie na emeryturze. Prowadzi zajęcia z zakresu prehistorii ziem polskich w Państwowej Wyższej Szkole Wschodnioeuropejskiej w Przemyślu.

nifestu Lipcowego biegnąc wczesnym rankiem, w poniedziałki, na zajęcia studium wojskowego, czy też wracając z ćwiczeń na Błoniach. Szczególnie wiosną można było nacieszyć oczy kwitnącymi krzewami i drzewami na plantach. Wstępowałem do kościoła akademickiego św. Anny, z przepięknymi barokowymi ołtarzami. W tym kościele słuchałem kazań wygłaszanych przez abp Karola Wojtyłę, późniejszego Ojca Św. Jana Pawła II. Już w tych latach był bardzo poważany w środowisku studenckim, jako aktywny uczestnik II Soboru Watykańskiego i autor nowatorskiej książki „*Miłość i odpowiedzialność*”. Przy kościele św. Anny, po niedzielnej Mszy św., spotykało się systematycznie grono przemyskich studentów zarówno z Uniwersytetu, Politechniki, Akademii Medycznej i innych uczelni. Przy kawie czy lampce wina (w probierni przy ul. Sławkowskiej 6, w „Pasiece” na Małym Rynku) dzieliliśmy się naszymi radościami i trudnościami, byliśmy zawsze ciekawi informacji z naszego kochanego Przemysła. Podróże do rodzinnego miasta były wówczas ograniczone do kilku wyjazdów w ciągu roku akademickiego, głównie w okresie świąt i przerwy między-semestralnej. Aby podtrzymać te koleżeńskie więzi, w 1963 roku założyliśmy nawet studenckie koło przemyslan. (Koło to funkcjonowało na zasadzie luźnych spotkań członków, nie zostało nigdzie zarejestrowane i nie znajduje się w żadnym rejestrze archiwalnych – przyp. red.).

Chętnie korzystaliśmy z dobrodziejstw kulturalnych, których w Krakowie nie brakowało. Z racji zainteresowań historią, zapoznawałem się z muzeami krakowskimi, z wystawami archeologicznymi przy ul. Senackiej i odkryciami na Wawelu. Zawsze wielkie wrażenie robiło na mnie Muzeum Książąt Czartoryskich przy ul. Jana, ze słynnym obrazem Leonarda da Vinci

„Dama z gronostajem”. Swoisty renesans przeżywał w tamtych latach krakowski teatr „Stary” i „Ludowy” w Nowej Hucie. Podziwialiśmy wspaniałe kreacje Lidii Zamkow-Słomczyńskiej, Leszka Herdegena, Jerzego Nowaka, Jana Nowickiego, Zdzisława Mrożewskiego, Marka Walczewskiego, Anny Seniuk, Franciszka Pieczki, Edwarda Rączkowskiego, Witolda Pyrkosza i wielu innych znanych aktorów. Wystawiano wspaniałe dramaty: m.in. B. Brechta „*Matka Courage i jej dzieci*” czy J. Steinbecka „*Myszy i ludzie*”. Był to czas kiedy w Polsce, po raz pierwszy po wojnie, dostępna stała się literatura i sztuka świata zachodniego. Dla nas chłopców z dalekiego Przemysła, były to wielkie, nieznane nam, przeżycia kulturalne. Do dnia dzisiejszego jestem posiadaczem legitymacji Klubu Miłośników Teatru w Krakowie. Telewizja nie była jeszcze powszechnie dostępna, natomiast modne było kino. Bardzo ciekawe cykle filmów wyświetlane były w kinie studyjnym „Sztuka” przy ul. św. Jana. Ponieważ ukończyłem szkołę muzyczną, chętnie uczęszczałem na koncerty muzyki klasycznej w Filharmonii przy ul. Zwierzyńckiej. Dyrygentem był w tym czasie Henryk Czyż. Dużym powodzeniem cieszyły się krakowskie zaduszki jazzowe. Miałem też sposobność, w 1963 roku, być w hali „Wisły” na koncercie słynnego francuskiego piosenkarza Charlsa Aznavoura. Mój brat, student ASP, zapraszał mnie do poznania dorobku artystycznego ich uczelni z dziedziny malarstwa, rzeźby, grafiki. Oglądałem wystawy w Pałacu Sztuki przy pl. Szczepańskim, czy też w słynnej Galerii „Krzysztofor”.

Kraków dawał też okazję do zetknięcia się ze sportem na najwyższym poziomie. Podziwialiśmy pierwszoligową drużyną koszykarską Wisły. Byliśmy

dumni, kiedy występował tam z sukcesem, wywodzący się z przemyskiej „Polonii”, reprezentant kraju Wiesław Langiewicz, a w barwach „Cracovii” Ryszard Niemiec, student historii UJ.

Głównym jednak celem mojego pobytu w Krakowie było studiowanie. Miałem możliwość i zaszczyt zdobywać wiedzę z zakresu archeologii pod kierunkiem wybitnych uczonych, profesorów: R. Jamki, K. Godłowskiego, M. Gedla, J. K. Kozłowskiego, M. Cabalskiej, B. Gintera, M. Bernhard. Teoria połączona była z praktykami terenowymi i poznawaniem metod badań wykopaliskowych.

Naszą wiedzę zawodową pogłębialiśmy zapoznając się ze zbiorami Muzeum Archeologicznego przy ul. Senackiej. Literatura fachowa była znacznie uboższa niż obecnie. Korzystałem więc z zasobów Biblioteki Jagiellońskiej, a szczególnie upodobałem sobie czytelnię biblioteki Polskiej Akademii Nauk przy ul. Sławkowskiej 17. Potrzebnych pozycji poszukiwało się w księgarniach krakowskich, o bogatych antykwarycznych tradycjach.

Był też czas na rozrywkę. W maju odbywały się tradycyjne krakowskie juwenalia. Miały one wyjątkową oprawę i bogaty program w okresie obchodów 600-lecia UJ.

Miejscem spotkań był zawsze krakowski rynek. Po latach prac renowacyjnych nabrał on szczególnego blasku i tak jak przed wiekami jest i obecnie centrum życia miasta. Kiedy tu wracam, odbywam wędrowkę tradycyjnym szlakiem królewskim, poczawszy od barbakanu po Wawel, nie omijając swojej uczelni: Collegium Maius i Collegium Novum.

Podziwiając wspaniałe zabytki, dostrzegam, że Przemysł tak odległy od Krakowa, jakże jest mu bliski.

JEST TAKA WILLA

W PRZEMYSŁU...

Mariusz Frodyma

W numerze 44 QL został zamieszczony artykuł redaktora naczelnego, **Czesława Kudły**, *Każde miejsce opowiada swoją historię*. Autor pisze o francuskiej pracy dotyczącej wiejskiego dziedzictwa: *Guide d'observation du patrimoine rurale*, Paryż 1999. Zainspirowała ona grupę polskich architektów, etnografów, archeologów i przedstawicieli innych zawodów do przygotowania książki *Każde miejsce opowiada swoją historię czyli rzecz o dziedzictwie wiejskim*, Fundacja Fundusz Współpracy, Program Agrolinia 2000, Poznań 2001. Tym dziedzictwem jest m.in. otaczający nas krajobraz (ukształtowanie terenu, pola, łąki, lasy, rzeki, stawy), budynki, kapliczki, cmentarze, pojedyncze mogiły; narzędzia rolnicze, przybory kuchenne, sprzęty domowe, meble; wyroby rzemieślnicze i rękodzielnicze, sztuka ludowa; również typowe dla danego regionu tradycyjne potrawy – zarówno te codzienne jak i świąteczne); życie prywatne i społeczne, obyczaje i obrzędy; legendy, gwara. Podziwianie piękna np. starych domów, cerkiewek, kapliczek może wyzwolić w nas chęć uratowania ich przed zniszczeniem. Dzięki poznawaniu różnych obiektów pochodzących z dawnych lat widzimy ciągłość naszej historii, tradycji związanej zarówno z „małą” jak i „dużą” ojczyzną. Rozejrzyjmy się wokół siebie... W wielu

domach są stare fotografie, widokówki, dokumenty, listy; żyją dziadkowie – można nagrać ich opowieści o tym, co widzieli, przeżyli, zapamiętali. Grupy uczniów (pod fachowym kierunkiem nauczycieli) mogłyby zbierać materiały dotyczące historii ulicy w mieście czy dziejów wsi, gdzie mieszkają. Ileż interesujących informacji dotyczących przodków znalazłoby się w starych księgach parafialnych! Mogłoby to zachęcić do pisania historii własnej rodziny. Istotną rolę koordynatora wyżej wymienionych przykładowo działań powinny pełnić różne instytucje, np. Wydział Kultury Urzędu Miejskiego w Przemyśle, Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej, Archiwum Państwowe, biblioteki itd.

W latach 1880-1902 ukazało się w Warszawie 15 tomów *Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*. W tym monumentalnym, o charakterze encyklopedycznym, opracowaniu (wydawany w okresie zaborów!) udało się zgromadzić niewiarygodne wręcz bogactwo drobiazgowych informacji o najmniejszych miejscowościach (też przysiółkach), o rzekach, rzeczkach, jeziorach, górach, stosunkowo niewielkich wzniesieniach itd. W *Słowniku* możemy znaleźć wiadomości dotyczące m.in. położenia, historii, ludności opisywanych miast i wiosek. Dużą część zawartości *Słownika* stanowią informacje przesyłane

bezpośrednio do redakcji przez licznych **pasjonatów, miłośników ziem, miast, miasteczek, wsi, w których te osoby mieszkały.**

<<< >>>

Patrzemy na różne budynki – jedne dobrze nam znane, inne – widzimy po raz pierwszy. Zwykle nie podejrzewamy nawet, że niektóre z nich w ciągu swej historii były świadkami interesujących wydarzeń, a w swoich wnętrzach gościły nieprzeciętnych ludzi.

Przy ulicy Puszkina 18 w Przemyślu stoi, pochodząca z 1906 roku, piękna, secesyjna **willa Elżbieta**. Zaprojektowana prawdopodobnie przez Władysława Weryhę-Darowskiego, wyróżnia się charakterystyczną wieżą. Fasadę zdobią motywy roślinne, typowe dla secesji.

Również ten dom opowiada swoją historię...

Willa należała do **rodziny Mosiewiczów**, a mieszkały w niej (dłużej lub krócej) różne znane osoby. **Generał Bronisław Majewski** (1853-1934) – lekarz w armii austriackiej, podczas I wojny światowej szef sanitarny i naczelny chirurg 2 i 1 Armii austriackiej, przez wiele lat komendant Szpitala Wojskowego w Przemyślu, generał brygady Wojska Polskiego.

Na początku II wojny światowej niejedna osoba znalazła schronienie w domu przy ulicy Puszkina. Spośród nich najbardziej znany był **Generał Władysław Anders** (1892–1970) – dowódca II Korpusu Polskiego, Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych w latach 1944–1945, ranny we wrześniu 1939 r., w grudniu tegoż roku przebywał wraz z żoną w willi Elżbieta.

Mieszkańcem tego domu był **Leonard Konopelski** (urodzony w 1942 r. w Przemyślu), studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, a następnie w Warszawie. Jego prace znajdują się w wielu prywatnych kolekcjach na kilku kontynen-

tach. Wykładał w różnych uczelniach w USA.

Osobą godną przypomnienia jest **Danuta Mosiewicz-Mikuszowa (pseudonim „Magda”)** (1920–2013), kapitan Armii Krajowej, odznaczona Orderem Virtuti Militari. Urodziła się w Jaśle, ale przez pewien czas mieszkała w Przemyślu. Tutaj wstąpiła do Związku Harcerstwa Polskiego, w tym mieście zdała maturę w maju 1939 roku. Podczas kampanii wrześniowej była sanitariuszką-ochotniczką na stacji kolejowej Przemyśl-Bakończyce, a następnie w szpitalu wojskowym. Uciekła z okupowanej przez Sowieców prawobrzeżnej części Przemyśla na stronę niemiecką i dzięki temu uniknęła deportacji. Od czerwca 1940 r. łączniczka Komendy ZWZ-AK Okręgu Kielce. W następnym roku została kurierką w „Związku Odwetu” Komendy Okręgu ZWZ-AK Kraków. Gestapo aresztowało ją w lutym 1943 r. w Warszawie. Po okrutnym śledztwie potoczonym z torturami trafiła do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. 20 stycznia 1945 podczas ewakuacji więźniów z obozu udało się jej uciec z „marszu śmierci”. Po wojnie mieszkała w dzielnicy Zabrze: Kończyce. Zmarła 17 czerwca 2013 r.; została pochowana z honorami wojskowymi na miejscowym cmentarzu. Dodajmy, że jej wspomnienia ukazały się drukiem w 2008 r. dzięki staraniom córki. (O Danucie Mosiewicz-Mikuszowej pisaliśmy w QL nr 08).

<<< >>>

Obecnie w **willi Elżbieta** znajduje się **restauracja C. K. Monarchia**, przyciągająca gości niepowtarzalnym klimatem przytulnych wnętrz, utrzymanych w stylu austro-węgierskiej monarchii oraz lat międzywojennych, zaś do pięknych ceglanych piwnic willi zaprasza **bar Secesja**.

(Obejrzyjmy ten piękny i interesujący obiekt – *vide następną stronę*):



NA JJAŚNIEJSZĄ PAŃ W PRZEMYSŁU

Mariusz Frodyma

Na stronie internetowej Przemyskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Dobrego Wojaka Szwejka znajdziemy adres <http://szwejk-przemysl.pl/Haas.pdf>, pod którym umieszczono artykuł z czasopisma Światowid nr 7 z 1935 roku. Ten interesujący materiał wydobył z zasobów Biblioteki Jagiellońskiej **Czesław Kudła**, redaktor naczelny *Quod Libet*. W artykule jest mowa o Jakubie Haasie, zaufanym maszyniście **cesarza Franciszka Józefa. Jakub Haas** ostatnie lata życia spędził w Przemyśle, gdzie w 1935 r. zmarł i tam został pochowany.

Cesarz niejedną raz odwiedzał Galicję – w tym Przemyśl – podróżując pociągiem. Po raz pierwszy gościł w Przemyśle w czerwcu 1855 r. w związku z budową twierdzy; przybył wówczas wraz z **cesarzową Elżbietą**, słynną „**Sissi**”. Franciszek Józef był w Przemyśle jeszcze kilkakrotnie. W roku 1880, 1885, w 1886 (przyjechał wtedy na manewry i zamieszkał przy ul. Mickiewicza 13); odwiedził Przemyśl również w latach 1889 i 1893.

Przyjrzyjmy się bliżej podróży w roku

1880. Cesarz opuścił Wiedeń 29 sierpnia rano w specjalnym pociągu, który służył mu do takich wyjazdów. Oto co pisze Stanisław Grodzki w książce „Franciszek Józef I”, Wrocław... 1978, s. 123: „Sam wagon cesarski zbudowany jest na trzech osiach, z których środkowa, dzięki osobnej konstrukcji, poruszać się może wolno, tak że nawet na największych krzywiznach toru wagon nie doznaje najmniejszego wstrząśnienia, ani też nie zagraża mu jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Pod względem architektonicznym wykonany jest ten wagon we wzorowym stylu i z nadzwyczajną okazałością. Na zewnątrz pomalowany jest na zielono z obwódkami złotymi i emblematami Najjaśniejszych Państwa. Po stronie przedniej wagonu znajduje się przedział dla pokojowego przybocznego, z którego prowadzą drzwi do przestronnego salonu cesarskiego. Urządzenie tego ostatniego składa się z otomanki, sypialnego fotelu, trzech krzeseł i biurka; nad biurkiem umieszczona jest na ścianie półka i zegar. Dalej znajduje się w tym salonie stoliczek zamykany pod ścianą, stoliczek

owalny i stołek polowy, a ścianki nadto obwieszane są koszyczkami, zapalniczkami, popielniczkami, termometrami, barometrami itp. Ścianki są obite ciężkim adamaszkiem jedwabnym, a nieobite pola drzewne okryte bogatą rzeźbą. Podłoga zastana kobiercami perskimi. Podwójne okna zwierciadlane przysłonięte są żaluzjami. Zarówno salon jak i inne przedziały pociągu dworskiego oświetlone są gazem. Z salonu cesarskiego prowadzą drzwi do urządzonego wygodnie przedziału adiutantów oraz do przedziału toalety. Obydwa przedziały wybite są adamaszkiem i zastane grubymi kobiercami. Wszystkie przedziały ogrzewane są ciepłą wodą. Pojedyncze wagony połączone są z sobą mostkami krytymi; wszystkie też łączy telegraf. Przy największej nawet chyżości porusza się pociąg tak swobodnie, że nie tylko wygodnie pisać można przy każdym stoliku, ale nawet napełnione płynem szklanki stawiać na nim bez obawy, iż uronią choćby kroplę. Równie wygodnie i wspaniale urządzone są także inne wagony pociągu dworskiego, jak jadalny, kuchenny itd. Nie trzeba dodawać, że pociąg dworski rozporządza też wyborną lokomotywą, najdoborowszą służbą fachową.”

Na trasie przejazdu cesarskiego pociągu udekorowane były stacje i mosty kolejowe. W różnych miejscowościach mnóstwo osób witało cesarza wręcz entuzjastycznie: duchowieństwo, wojskowi, szlachta, mieszczenie, chłopci. Franciszek

Józef stał przy oknie wagonu i dziękował za wspaniałe przyjęcie. Zanim cesarz przybył do Przemyśla, pokonał dosyć długą trasę. Pierwszy postój był w Krakowie, gdzie Franciszek Józef spędził kilka dni. Stąd wyruszył w kierunku wschodnim, zatrzymując się krótko w Bochni, Tarnowie, Czarnej Tarnowskiej, Dębicy, Jarosławiu. Przez inne stacje, na których się nie zatrzymywał, pociąg przejeżdżał powoli, aby zgromadzeni tam ludzie mogli choć przez chwilę zobaczyć, stojącego w oknie wagonu, Najjaśniejszego Pana.

Wreszcie – 5 września 1880 r. pociąg cesarski wjechał na dworzec w Przemyślu. Cesarza witali tutaj: generał Eduard von Litzelhofen wraz z dowództwem, biskupi obydwu wyznań, przedstawiciele władz miasta z burmistrzem Walerym Waygarterem. Obecny był również książę Adam Sapieha. Podczas tamtej wizyty cesarz zwiedził m.in. fort VI Helicha, a następnie obserwował wielkie manewry w Krysowicach koło Mościsk.

<<< >>>

Gdy znajdziemy się kiedyś na przemyskim dworcu kolejowym i zachwycimy się (po raz pierwszy lub kolejny) pięknymi wnętrzami oraz bryłą budynku – przymknijmy na chwilę oczy i wspomnijmy dziewiętnastowieczne przyjazdy, na ten właśnie dworzec, Najjaśniejszego Pana Franciszka Józefa.



Franciszek Józef I



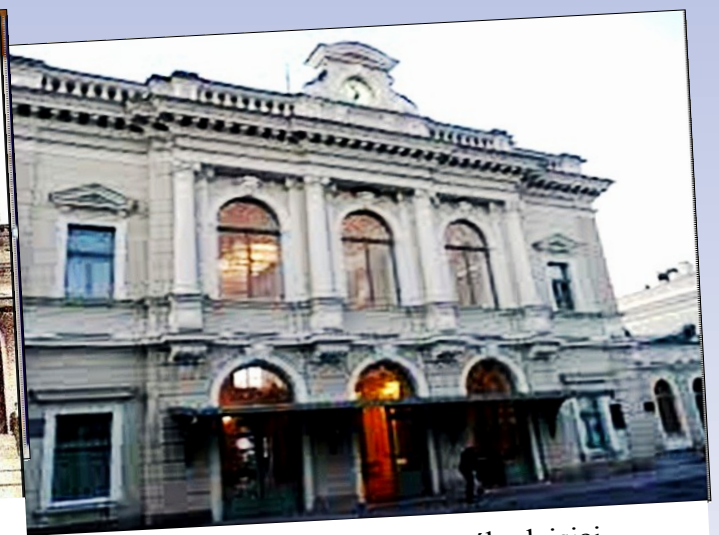
Herb cesarza Franciszka Józefa I



Cesarzowa Elżbieta zwana Sisi



Dworzec kolejowy w Przemysławu z początku XX wieku



Dworzec kolejowy w Przemysławu dzisiaj



Wnętrze przemysławskiego dworca. Prawda, że wygląda jak pałac?

SZWEJK PRZEDSTAWIONY, czyli 100 lat z okładem (z opodełdołu)

SZWEJK ODZNACZONY – cd.



Przemysław Piotrowski

Każdemu Czytelnikowi, który dotrwał aż do tego rozdziału należy się specjalne odznaczenie. Może medal *Signum Švejkensi*?

Jak pamiętamy z powieści Haszka, Švejk miał do odznaczeń dość hm... swobodne podejście. Oddaje je opowieść o stolarzu Mliczce z ulicy Vavry na Królewskich Winohradach. Zaczyna ten jegomość został pierwszym kale-

pierwszego frontowego pułku. Po tym, jak granat urwał mu nogę, dostał od państwa protezę i srebrny medal za męstwo. Ale ponieważ zbyt chętnie się swym bohaterstwem, w szynku rzeźnicy oderwali mu sztuczną nogę i okładali go nią po głowie (zanim się okazało, że noga jest sztuczna, sprawca odrywania zemstał z wrażenia). Rozżalony i rozeźlony Mliczko chciał zastawić odznaczenie w lombardzie. Sprawa jednak się wydała i sąd honorowy odebrał mu - jako niegodnemu noszenia - zarówno medal, jak i sztuczną nogę. Rzekłbyś: komu pierwsza chwałka, temu pierwsza pałka!

Może dlatego odznaki i medale upamiętniające Švejka są zwykle projektowane bez zbędnego zadęcia. Poniżej metalowa zawieszka (w srebrnym kolorze) oraz odznaki z restauracji „U Kalicha” w Pradze.





W świecie Szwejkowych odznak

Szwejk jako dziecię

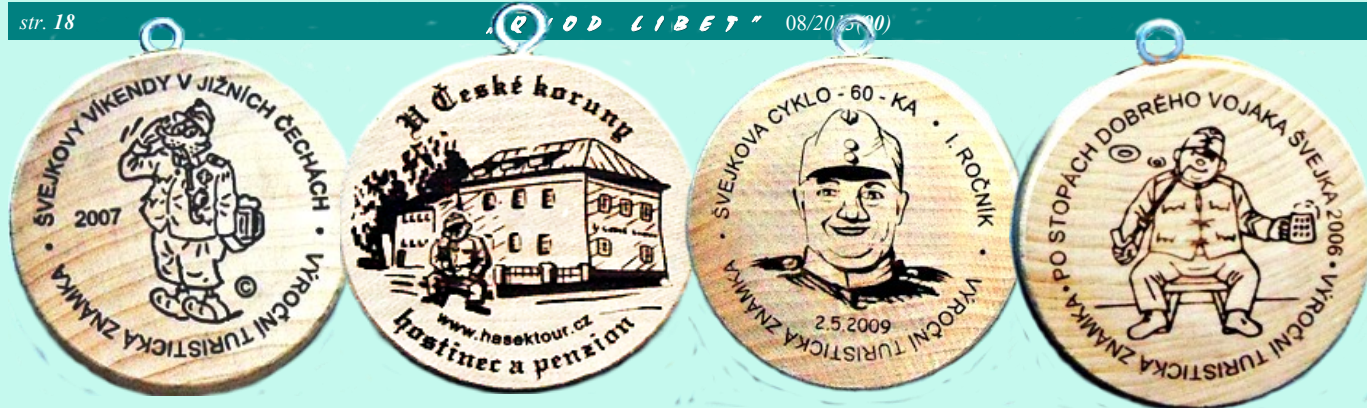


Dobry Wojak w wieku dojrzałym



Wiele odznak przedstawiających Dobrego Wojaka Szwejka upamiętnia kolejne odsłony tzw. *Szwejkowej 50-tki* (rajdu turystycznego trasą słynnej anabasis Szwejka)





Czeskie odznaki turystyczne



Odnaki z Manewrów Szwejkowskich



Medal okolicznościowy z 1983 roku, wydany w ZSSR w stulecie urodzin Jarosława Hászka (autor: I. Daragai)



Okolicznościowa moneta – Pisek 2011

Na awersie wymieniono trunki, które wyczuł doskonale wyszkolony nos pana rotmistrza z Pisku w oddechu kaprala z Putimi: rum, kontuszówka, czort*, jarzębiak, orzechówka, wiśniówka i waniliowa.



Moneta wydana dla upamiętnienia pierwszego wydania *Przygód Dobrego Wojaka Szwejka* (1921)



Pamiątkowa moneta z serii *Śladami Jarosława Hászka* (Mennica Denar)

* Inaczej *Čertův likér* – trunek produkowany przez firmę Cin a Hončík na praskim Žižkovie (podają za Antonim Krohem).

Emil Palej

NOTATKI Z MEGO ŻYCIA

Cd.

Zyjemy wszyscy pod wrażeniem

napadu. Od zmroku do samego rana czuwamy, ponieważ uważałem, że banderowcy nie podarują nieudanego ataku. W nocy jesteśmy w 70% na stanowiskach. Każdej nocy widać od strony wschodniej, tj. od Lwowa, pożary. W nocy latają samoloty na dużej wysokości: tak na wschód, jak i zachód; ale czyje – nie wiadomo. W tym tygodniu otrzymałem pocztę z Rodatycz, że partyzantka sowiecka jest już w akcji na tyłach niemieckich, jak Jaworów – Szkło – Wareszyce i należy się tego spodziewać i u nas. W miarę możliwości robić dywersję na torze kolejowym i na szosie. Słuchamy każdego dnia radia – wiadomości są pocieszające; to nas podnosi na duchu. Wierzymy, że dzień wyzwolenia jest bliski. Ale co będzie dalej? Myślę o żonie, dzieciach i całej rodzinie, o których już zapomniałem. W ciężkich chwilach myślałem, że już ich nie zobaczę ani oni mnie. Zadawałem sobie pytania, co oni tam robią i jak żyją, i z czego żyją. Schudłem do tego stopnia, że sam siebie nie poznaję. Zaczynam na dobre siwieć. Zrobiłem w dzień zwiady w lesie, skąd przyszli banderowcy. Zabrałem ze sobą dwudziestu ludzi i bardzo ostrożnie zapuściliśmy się około 3 km. Jednak nikogo nie spotkaliśmy. Tej nocy otrzymałem trochę amunicji różnej i trochę granatów, ale skąd, to nie pamiętam – czy z Rodatycz czy z Gródka Jagiellońskiego. Równocześnie powiadomiono mnie, że dzień przedtem przedzierała się sowiecka partyzantka, tj. konnica, artyleria konna i tabor, polnymi drogami w kierunku na Przemyśl. To nas podniosło na duchu. Czuję, że dzień wyzwolenia jest już bliski, ta moja tułaczka skończy się. Zacząłem żyć nadzieją, że jeszcze zobaczę się z rodziną. Poszedłem

z zastępcą do agencji pocztowej, by czegoś się dowiedzieć z wiadomości radiowych. Wiadomości były bardzo pocieszające. Niemcy uciekają w popłochu, a armia sowiecka jest już niedaleko. Kierowniczka agencji pocztowej połączyła się z koleżanką w Rudkach, która również pracowała na poczcie w łącznicy telefonicznej. Ta koleżanka powiedziała, że jej rodzina, której było dużo w Rudkach, wyjeżdża w kierunku Przemyśla (zrozumieliśmy, że to Niemcy wyjeżdżają).

(...) Z chwilą, kiedy bokiem zbliżyłem się do cmentarza, zobaczyłem dużo kobiet z dziećmi i starszych. Kobiety stały blisko Niemców, którzy byli porozpinani, a pistolety na pasach leżały obok nich na trawie. Z ukrycia poznałem, że jest to zwyczajny „Wehrmacht”, ponieważ nie mieli odznak SS (trupich czaszek). Jeden z Niemców wołał do małej dziewczynki: „Komm, komm!”¹ W tym czasie patrole wróciły meldując, że nikogo nie widzieli. Jeden z Niemców, prawdopodobnie dowódca, studiował mapę. Zorientowałem się, że będą odjeżdżać. Wpadła mi do głowy myśl – ażeby nie ściągać nieszczęścia na całą wioskę, to tylko Niemców rozbroić, uprowadzić w bezpieczne miejsce i zabezpieczyć – w razie gdyby przybyli tu jeszcze Niemcy. Cała drużyna nagle napadnie i rozbroi ich na mój znak i cichą komendę. Około piętnastu ludzi skoczyło na Niemców i „Hände hoch!”². Reszta ludzi z automatami leżała opodal, aby w razie nieudanego napadu zlikwidować Niemców. Napad udał się, żaden z Niemców nie chwycił za broń. Mój zastępca krzyknął do obecnych kobiet: „Natychmiast rozejść się do domów i cicho siedzieć!”. Na propozycję zastępcy Niemców zaprowadzono do piwnicy w kościele. Byli wystraszeni, nawet nie mogli słowa wypowiedzieć. Mój zastępca, który dość dobrze mówił po niemiecku, powiedział im, że niech będą spokojni, nic im się nie stanie i za parę dni będą wolni i pojedą do domu i swoich rodzin. Ludności nakazano, ażeby nic nie mówili, w razie gdyby tu przyszli jeszcze Niemcy, że nic nie wiedzą, gdzie poszli. Nakazałem czołgi doprowadzić do takiego stanu, aby nie można było ich uruchomić, a paliwo kazałem wypuścić. Niemcy dostawali posiłek, słomę, jednak nadal byli bardzo podenerwowani, a posiłki obawiali się spożywać. Kilku Niemców nawet płakało – że mają rodziny, niektórzy mają i dzieci i chcą je zobaczyć jeszcze.

¹ Chodź, chodź!

² Ręce do góry!

Powiedziałem im, że my bezbronnych nie mordujemy i że im nic złego się nie stanie, niech będą spokojni. Nakazałem zwiększyć posterunki, ażeby nikt nie uciekł. Obawiałem się tylko, aby jeszcze Niemcy nie wpadli i nie zobaczyli pozostawionych czołgów – to wtedy zniszczyliby całą wieś i ludność. Różne myśli nasuwały mi się do głowy. Wydałem rozkaz dowódcom plutonów i drużyn, ażeby powiadomili ludność, że w nocy tylko słyszeli warkot motorów jakichś, a dopiero rano zauważyli trzy czołgi, a jak by się Niemcy pytali, czy słyszano strzały, to mają odpowiedzieć, że nie słyszeli. Przez cały czas byliśmy w ostrym pogotowiu i w razie napadu Niemców będziemy się bronić. W tym dniu i tej nocy nikt z nas już nie spał, tylko czuwaliśmy w wielkim zdenerwowaniu. Daty nie pamiętam, kiedy otrzymałem ostatnią wiadomość nad ranem, że wojska sowieckie już są we Lwowie i lada chwila będą już i u nas. W myśl rozkazu wydałem polecenie wywiesić na szkole przygotowaną już flagę polską i sowiecką. Około godziny trzynastej lub czternastej siedzieliśmy w ogródku szkolnym i naradzaliśmy się, co robić dalej. Część ludzi znajduje się na placówkach i czujkach oraz na patrolach, zaś część znajduje się we wiosce jako zmiana. W tym czasie przybiegło do nas kilku ludzi mocno zdenerwowanych, zadyszanych, że na skraju wioski jest około trzydziestu ludzi wojskowych na koniach i że są to Sowietci, są bardzo źli i pytają co my tu robimy i że jesteśmy z bronią i co to znaczą te znaczki, i opaski biało-czerwone i gdzie jest wasz „komandir”³. Zerwałem się z miejsca i mocno podenerwowany idę w tamtym kierunku na spotkanie. Wychodząc z ogródka powiedziałem, ażeby ludzie nie pokazywali się; należy powiadomić cały oddział i czekać na mój rozkaz. Obawiałem się, że mogą to być przebrani banderowcy. Gdy wyszedłem na drogę, o jakieś trzysta metrów zauważyłem oddział kawalerii sowieckiej. Część ich idzie na przodzie piechotą z automatami w rękach, zaś część siedzi na koniach trzymając automaty na kolanach. Kiedy zbliżyłem się, poznałem po umundurowaniu, uzbrojeniu jednolitym, koniach, siodłach, że to oddział regularnego wojska sowieckiego, z czego bardzo się ucieszy-

łem. Szedłem naprzeciw z zastępcą i jeszcze z dwoma ludźmi. Na głowie miałem furażerkę i biało-czerwoną chorągiewkę przyszytą do niej. Kiedy zbliżyłem się do nich, już byłem pewny, że to Sowietci. Przybliżyłem się na parę kroków do dowódcy, który miał trzy kwadraciki na kołnierzu; zsalutowałem mu, by zdać raport. „Komandir” podniósł rękę do góry na znak „stój!”. Cały oddział zatrzymał się. W tej chwili dowódca tego oddziału od razu do mnie: „Wy komandir! A szto eto za ludi z aruzjem chodiat po ulicy?”⁴. Ja mu odpowiedziałem, że to polska chłopska partyzantka. „Komandir” silnym wzrokiem zmierzył nas od stóp do głów: „Ja wam dam bandickuju partyzantku!”⁵. Odpowiedziałem mu spokojnie, że nie jesteśmy bandytami, a tylko polską partyzantką i cel nasz jest bić Niemców, robić dywersję i bronić ludności po wioskach i że mamy wam pomagać. Zorientowałem się, że znalazłem się w przykłej sytuacji. Tłumaczyłem mu, że oni chyba wiedzą, że w okolicy znajduje się dość silna polska partyzantka i że mamy im pomagać. Jeden z nich drwiąco powiedział: „Wot gieroj! Nam nie nada waszej pomoszczii”⁶. Jeden z żołnierzy pokazał dowódcy wiszącą polską flagę na szkole i powiedział: „Smatritie! Tam wisit kakoj-to flag”⁷. „Komandir” zauważył flagę i zapytał mnie: „A eto szto tam wisit na krysze?”⁸. Odpowiedziałem mu, że to polska narodowa flaga, a tam wisi druga – czerwona. To go już bardzo podenerwowało i podniesionym głosem rozkazał: „Sieczas nada sniat etu szmatu!”⁹. „Skolko imiejetie ludiej?” W tej sytuacji nic nie rozumiałem, jednak byłem pewien, że to jest oddział sowiecki – regularna armia albo partyzantka. Ale dlaczego są tak wrogo ustosunkowani do nas? Ażeby ich zmylić i w obawie, aby nie zaszło coś złego (widziałem, że przez cały czas trzyma rękę w kieszeni, a kabura od pistoletu jest otwarta, wobec czego w każdej chwili może strzelić do mnie), odpowiedziałem mu, że jest nas trzystu. To go zaintrygowało. Dał mi rozkaz złożyć natychmiast wszystkie broń, a oni wrócą rano i załatwią, ale co – nie powiedział. Odpowiedziałem mu, że moje dowództwo jest niedaleko i ja muszę się z nimi porozumieć. Na to mi ostro odpowiedział, co mu tam

³ Dowódca

⁴ Wy dowódca! A co to za ludzie z bronią chodzą po ulicy?

⁵ Ja wam dam bandycką partyzantkę!

⁶ Oto bohater! Nie potrzebujemy waszej pomocy.

⁷ Zobaczcie! Tam wisi jakaś flaga.

⁸ A to co tam wisi na dachu?

⁹ Zaraz trzeba zdjąć tę szmatę! Ilu macie ludzi?

nasza komenda – „takije samyje kak wy”¹⁰. I znowu ostro powiedział: „Poniali, szto ja skazał?!”¹¹. Nic mu już na to nie odpowiedziałem. Wsiedli na konie i klusem odjechali. Zaznaczam, że przez cały czas się ubezpieczali i patrzyli na wszystkie strony. Całe to zajście wywarło na mnie ogromne wrażenie. Nie miałem pojęcia, co to ma znaczyć i co mam dalej robić. O wysłaniu meldunku nie było już mowy, ponieważ było za mało czasu i nie wiedziałem dokąd wysłać meldunek. Naradziłem się z zastępcą i dowódcami plutonów; postanowiłem na razie nic nie robić i pozostać nadal na stanowiskach pilnując wioski i czekać co będzie dalej. Zajrzałem do rannych i skontrolowałem jeńców, czy są wszyscy. W takim napięciu przeszła noc. Na drugi dzień nikt się nie zjawił. W tym czasie ludzie pracujący w polu po zachodzie słońca zaobserwowali, jak z lasu wychodziło na drogi polne grupami dość dużo uzbrojonych mężczyzn cywili, którzy rozmawiali po ukraińsku i kierowali się na zachód. To banderowcy – uciekali przed armią sowiecką. Jesteśmy całą noc na stanowiskach w obawie przed napaDEM, ponieważ obawialiśmy się, że banderowcy mogą się pokusić zaatakować wioskę.

Po tej nocy jest trzeci dzień po wizycie konnicy sowieckiej; odpoczywam, jak zwykle, w ogrodzie szkolnym wśród krzewów porzeczek i agrestu. Przed południem przybiegło do mnie dwóch ludzi z bronią. Zameldowali, że koło kuźni są znowu Sowietci; posiadali z koni i rozmawiają z ludźmi. Są bardzo uprzejmi i chcą rozmawiać z naszym dowódcą. Pomyślałem sobie, że to może ci sami, bo skąd by wiedzieli o naszej partyzantce. W tej chwili wstałem i razem z zastępcą znowu idziemy naprzeciw. Spotkaliśmy się koło samej kuźni. Na drodze stało kilku Sowietów – studiowali mapę. Kiedy zbliżyłem się, zauważyłem, że uśmiechają się i jeden z nich postąpił parę kroków do mnie. Poczulem od razu, że jest dobrze. Podeszedłem do niego, stanąłem na baczność, zsalutowałem i zameldowałem, że jestem dowódcą kompanii partyzantki chłopskiej. Ten wyciągnął rękę, serdecznie się przywitał i jeszcze trzech innych. Zobaczyłem od razu, że jeden z nich – z mapą w ręku – ma na kołnierzu prostokąt, to znaczy, że major. Od razu zapytał mnie, czy nie było tu Niemców, kiedy ostatnio byli i jak żyjemy. Odpowiedziałem mu, że żyjemy w dużym napię-

ciu czekając na oswobodzenie. Major przedstawił się – jest dowódcą „razwiedki” tj. zwiadu; powiedział, że już jesteśmy oswobodzeni, armia polska idzie razem z nimi i wkrótce będą w Berlinie. Widocznie zauważył moje wzruszenie, uściśnął mnie, poklepał po ramieniu. W tym czasie zrobiło się zbiegowisko – kobiety, dzieci, ludzie z bronią; kobiety mlekiem i chlebem częstowały żołnierzy. Poprosiłem ich tych parę kroków do szkoły. Weszliśmy do klasy, gdzie opowiedziałem o aktach dywersji i obronie przed banderowcami. W rozmowie brało udział jeszcze dwóch oficerów i jeden lekarz. Byli zupełnie spokojni. Powiedziałem im, że zdobyliśmy parę dni temu trzy czołgi niemieckie i wzięliśmy do niewoli dziewięciu Niemców. Czołgi znajdują się około trzystu metrów stąd. Major zapytał mnie, czy ponieśliśmy straty w ludziach, a Niemców to na pewno rozstrzelaliśmy. Odpowiedziałem, że Niemcy wszyscy żyją i są zamknięci. Co mam z nimi zrobić? Poza tym mamy trzech rannych, którzy leżą bez opieki lekarskiej. Opowiedziałem też, co mnie spotkało trzy dni temu przez taki sam oddział jak ich. To zaintrygowało majora. Słyszałem, jak mówili między sobą, że to musieli być dezenterzy. Poszliśmy do rannych, gdzie lekarz ich zbadał, zrobił opatrunki, dał jakieś zastrzyki, pozostawił jeszcze kilka zastrzyków i pigulek. Pocieszył rannych, że zostaną zabrani do szpitala wojskowego i tam ich wyleczą prędko. Następnie poszliśmy do zamkniętych Niemców, którzy na widok Sowietów wystraszyli się, pobledli. Lekarz (prawdopodobnie Żyd) tłumaczył na niemiecki to co mu mówił major. Na koniec pocieszył ich, a nawet Sowietci poczęstowali Niemców papierosami.

Potem wróciliśmy do szkoły. Mój zastępca poczęstował bimbrem – po pół szklanki. Major wyciągnął ze swojej torby polowej druk. Napisał, że nie wolno nas ruszać, że jesteśmy legalną polską partyzantką, a w razie potrzeby należy udzielić nam pomocy (podpis z pieczętką); pismo załączam. Poza tym major oświadczył, że jutro lub pojutrze spotkamy się w tej wiosce z wojskami sowieckimi i mamy postąpić tak samo jak z nimi. Podziękowaliśmy sobie nawzajem, uściśnęliśmy się na pożegnanie. Przy odejściu jeszcze nakazano mi być czujnym.

Cdn.

¹⁰ Tacy sami jak wy

¹¹ Zrozumieście, co powiedziałem?!

MISCELLANEA

ab imo pectore



Normalnie wygląda jak pionowa kreska z dwoma brzuszkami. Na górze brzuszek mniejszy, na dole większy, znacznie większy. Obydwa zwrócone w prawo.

Tylko raz napisano ją źle. Specjalnie. Celowo. W proteście, w oburzeniu, ale z panicznym strachem. A nóż się zorientują. A nóż ktoś ich wsypie. Równie dobrze może to być ktoś z pośród nich. Co za szalone ryzyko. Może nawet ryzyko utraty życia. W takiej jak tamta rzeczywistości, z wszystkim należało się liczyć. Ze zrozumiałą, dziką, nawet nieludzką ponad wszystko, chęcią życia prowadzącą do zdrady, chęcią życia większą od poczucia ludzkiej więzi i braterstwa. Większą niż nauka płynąca z przykazania: *miłuj bliźniego swego, jak siebie samego*.

Dzisiaj wiemy jak trudno miłować bliźniego swego, nawet mając pełny żołądek i zdrowe ciało, a co dopiero w tamtym czasie, kiedy twój bliźni może być śmiertelnym zagrożeniem dla przeżycia jedyne, dzisiejszego dnia. Nawet nigdy się nie dowiesz, że nie wiesz dlaczego, może to ten dzisiejszy dzień jest ostatnim dniem twego nędznego życia.

A tu taka ryzykowna decyzja. Decyzja, aby w przygotowywanym i wykonanym w metalowym alfabecie, sztandarowym napisie – hasle, tym, który miał zataić szalbierstwo, draństwo, okrucieństwo i państwowe przyzwolenie na zbrodnię, dokonać jawnej dywersji. Napis miał usprawiedliwiać tę zbrodnię, miał być naczelnym hasłem tego miejsca śmierci. Treść napisu nad bramą główną tej nie znanej wcześniej przez ludzkość Fabryki Śmierci był jednocze-



Zenon Rogala

śnie kpiną z tej ludzkości. A może, dla zwrócenia uwagi na nieprawidłowości za bramą, wystarczy w tym hasle przygotowywanym przez skazanych na śmierć, zmienić kształt choćby jednej litery. Wystarczy postawić ją do góry nogami. Wystarczy postawić ją na głowie, a może Świat zwróci uwagę, a może domyśli się, a może nawet dowie się, że coś tu nie gra, że ten ewidentny błąd, nawet jeśli jest wynikiem przypadkowej pomyłki, jest równocześnie znakiem, zgrzytem w porządku estetycznym pisowni, wołaniem o pomoc i ratunek dla tych za drutami, w dodatku za drutami nabitymi prądem.

I otóż jest, jest taka litera. Szczęśliwie występuje w tym przeklętym dla cywilizacji hasle, wymyślonym przez perfidnych oprawców. Normalnie wygląda jak pionowa kreska z dwoma brzuszkami. Na górze brzuszek mniejszy, na dole większy, znacznie większy. Obydwa zwrócone w prawo.

I dla kogoś czujnego, kogoś miłującego porządek i szczególnie wyczulonego na płynące zza drutów sygnały, ten szczególny sygnał mógł stać się powodem niepokoju. Tymczasem nie. Przez sześć długich, przeklętych lat okupacji, napis ze stojącą na głowie literą wisiał nad główną bramą tej osobliwej Fabryki Śmierci.

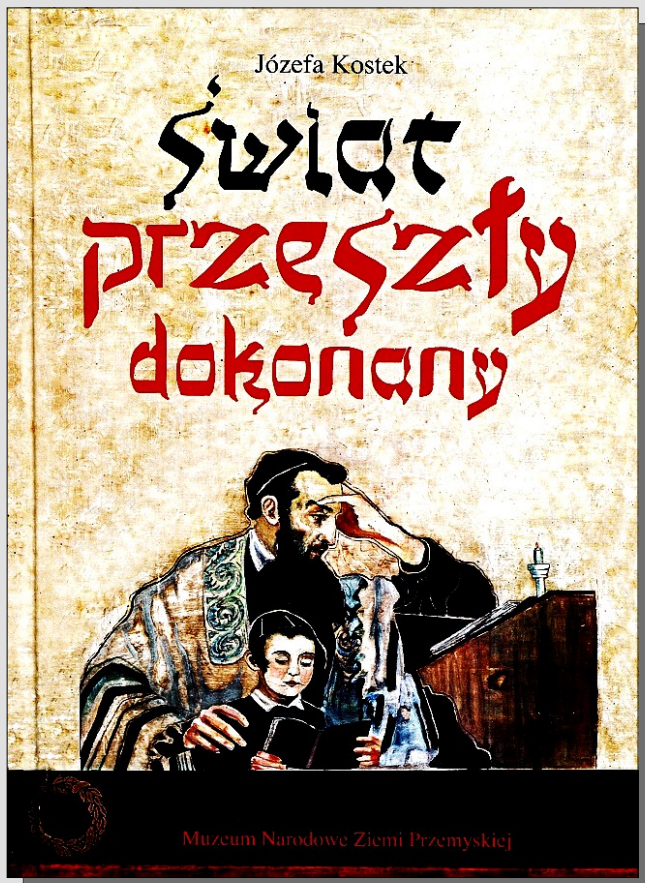
A ci bezimienni bohaterowie niech staną na czele wyczulonych na wszelkie sygnały wołających o pomoc i niech ten niechlubny napis „ARBEIT MACHT FREI” będzie upamiętniał wszystkich dzielnych ludzi, którzy *stawiając jedną literę „na głowie”, próbowali postawić Świat „na nogach”*.



PÓŁKA Z KSIĄŻKAMI

A oto książki, które powinny znaleźć się w naszej biblioteczce, w szczególności znakomite opracowanie **Józefa Kostek „Świat przeszły dokonany”**.

Judaika ze zbiorów MNZP (wyd. MNZP, Przemyśl 2012) to opracowanie, które zawiera mnóstwo wiedzy o tym „Świecie”, który przeminął, a który w pamięci zapewne wielu naszych Czytelników zachował się i który dzięki tej lekturze jawi się nam znacznie, znacznie wzbogacony. Gorąco polecamy!

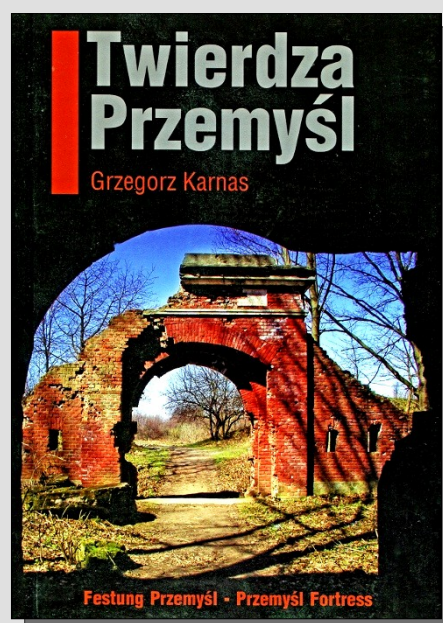


Spis treści

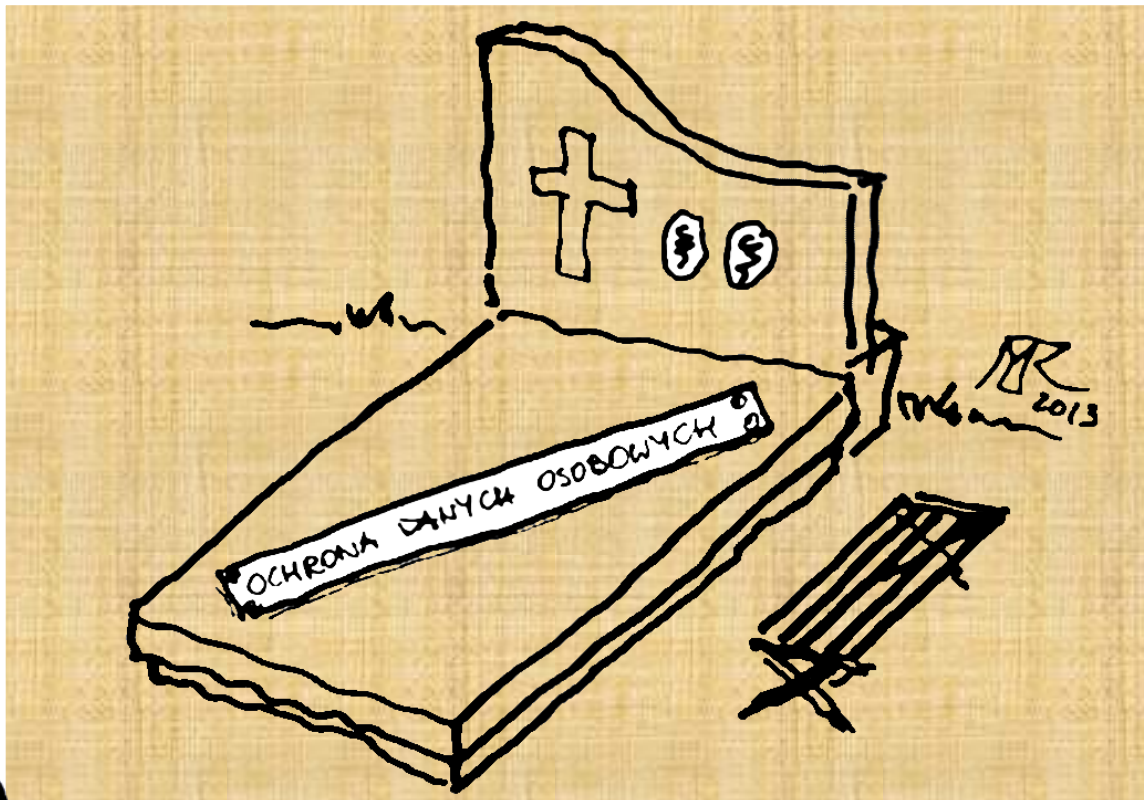
- Wstęp
- Żydzi w Przemyślu – rys historyczny
- Religia – obyczaj – kultura
- Życie rodzinne i społeczne
- Święta żydowskie
- Judaika w zbiorach Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej
- Katalog
- Ilustracje
- Słownik biograficzny przemysłan żydowskiego pochodzenia
- Bibliografia



Dorota Zahel, wyd. Muzeum Regionalne w Dębicy
Informator wystawy MNZP
kwiecień 2011 – luty 2012
oraz Muzeum Regionalne w Dębicy
marzec – wrzesień 2012



Grzegorz Karnas, Wyd.
UM Przemyśl 2013
(znakomite fotografie!)



W I D O W A N I E

Chasyd opowiada:

Do cadyka z Bóbrki przybył pewnego dnia chasyd z głuchoniemą córką. Rabbi - oby żył długo! - przyrzekł stroskanemu ojcu, że córkę uzdrowi. Wdział tedy swój soboli kołpak, ujął kostur i stuknąwszy nim trzy razy w podłogę, zawołał wielkim głosem:

- Saro, córko Lei, rozkazuję ci, przemów!

A dziewczyna nic, milczy.

- Saro, córko Lei, rozkazuję ci, przemów!

A dziewczyna nic, milczy.

Więc kiedy Sara, córka Lei, po raz trzeci pozostała nieczuła na jego słowa, rabbi - oby żył długo! - wpadł w złość i zakrzyknął:

- Uparłaś się, a więc do samej śmierci nie wydobądź z niesfornych swoich ust żadnego dźwięku!...

No i co wy na to? Sprawdziły się, jak zawsze, słowa - oby żył wiecznie! - rabbiiego Elchanana z Bóbrki: dziewczyna po dziś dzień jest niema i głucha jak pień...

<<< >>>

Widomo jest wam, że rabbi z Wasilkowa umiał wskrzeszać zmarłych i uśmiercać żywych, a z Panem Bogiem rozmawiał tak, jak nie przymierzając, ja z tobą.

Pewnego dnia rabbi przybył do miasta Monasterzyska i zapragnął przenocować w karczmie.

- Oj, nie mamy wolnego miejsca - usprawiedliwiał się gospodarz.

- Jak to, nie macie? Rabbi wam każe!

No, co z tego, że on każe? Dziś jarmarczny dzień i wszystkie łóżka dawno zajęte...

- Jeśli tak - zagniewał się rabbi z Wasilkowa - to niechaj spłonie twoja grzeszna karczma i niecne miasto!

Co tu dużo gadać! Ledwie rabbi wyrzekł owe złe słowa, groza ogarnęła wszystkich. Jęli w pośpiechu pakować tobołki i uchodzić precz za góry i lasy.

Ale starszyzna nasza podjęła ostatnią próbę prześlągnięcia cadyka:

- Aj, rabbi, rabbi, miejcie wy litość nad kalekami, nad niewiastami, nad niewinnymi dziećmi!

Cadyk długo milczał, w końcu okiełznał swój gniew i rzekł:

- Chociaż wysłałem już Anioła Ognia, zawrócę go z drogi i miasto owo pastwą płomieni nie padnie...

I istotnie miasto pozostało nietknięte.

Tak wielkiego cudu dokazać mógł jedynie rabbi z Wasilkowa!

STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYSŁA

w Krakowie

Adres: ul. Ułanów 46/151, 31-455 Kraków, tel.: 124113493, 601961488, e-mail: czq@onet.pl

Rachunek bankowy: PKO BP SA. I Oddział w Krakowie, Nr konta: 76 1020 2892 0000 5002 0160 1236

Redakcja: Czestaw Kudła - red. nac., M. Frodyma. Współpraca: Z. Ostrowski, M. Kozera.

WYDAWNICTWO WEWNĘTRZNE
STOWARZYSZENIA PRZYJACIÓŁ
PRZEMYSŁA w KRAKOWIE

MOŻE UKAZYWAĆ SIĘ
NIEREGULARNIE

Redakcja zastrzega sobie prawo adustacji
i skracania nadesłanych tekstów.
Prezentowane poglądy nie zawsze zbieżne są
z poglądami redakcji.